

Człowiek, który ważył cegły

Był człowiek, który przez długi czas myślał, że musi siebie zbudować.

Tak mu mówiono.

Zbuduj siebie.

Zbuduj charakter.

Zbuduj życie.

Zbuduj pozycję.

Zbuduj dom.

Zbuduj pewność.

Zbuduj nazwisko.

Zbuduj spokój.

Zbuduj coś, po czym będzie widać, że jesteś.

Więc próbował.

Zbierał cegły.

Nie wszystkie wybrał sam.

Niektóre dostał bardzo wcześnie, zanim jeszcze umiał je podnieść. Ktoś położył je obok jego łóżka, na progu pokoju, w rękach, na plecach, w brzuchu, w gardle. Ktoś powiedział: to się przyda. Ktoś inny: to twoje. Jeszcze ktoś: tego nie wolno oddać. A on był za mały, żeby zapytać, czy naprawdę.

Pierwsza cegła była po ojcu.

Ciężka.

Miała kolor milczenia. Leżała długo w miejscu, gdzie u innych ludzi rośnie głos. Kiedy próbował mówić o strachu, cegła podnosiła się w gardle i mówiła za niego: nie przesadzaj. Kiedy chciał płakać, mówiła: wytrzymaj. Kiedy chciał poprosić, mówiła: poradź sobie.

Przez wiele lat myślał, że ta cegła jest siłą.

Dopiero później zobaczył, że była także zamknięciem.

Druga cegła była po matce.

Nie była tak twarda z zewnątrz, ale ważyła więcej, niż się wydawało.

Miała na sobie napis: nie zawieź mnie.

Nosił ją blisko serca. Tak blisko, że czasem myślał, że to serce. Gdy ktoś go potrzebował, cegła robiła się gorąca. Gdy ktoś cierpiał, ciążyła mocniej. Gdy chciał odejść, odpocząć, wybrać siebie, szeptała: jeśli odejdziesz, ktoś się rozpadnie.

Przez wiele lat myślał, że ta cegła jest miłością.

Dopiero później zobaczył, że miłość nie zawsze waży tyle.

Trzecia cegła była po domu.

Z niej zbudowano wiele zdań.

U nas się tak nie robi.

U nas się nie mówi.

U nas trzeba wytrzymać.

U nas nie wolno się wynosić ponad innych.

U nas nie wolno pokazać, że boli.

U nas ludzie jakoś żyją.

Ta cegła była dziwnie praktyczna. Pasowała do wielu miejsc. Można ją było włożyć w relację, w pracę, w milczenie przy stole, w sposób chodzenia, w sposób oddychania. Długo wydawało mu się, że bez niej wszystko się rozsypie.

Dopiero później zobaczył, że ona nie trzymała domu.

Ona trzymała go w domu, z którego dawno powinien był wyjść.

Czwarta cegła była po Kościele albo po czymś, co udawało głos Boga, choć częściej było głosem cudzej kontroli.

Miała zapach winy.

Nie wolno.

Nie wypada.

Nie godzi się.

Powinienes.

Musisz przebaczyć.

Musisz być dobry.

Musisz być czysty.

Musisz uważać na swoje pragnienia.

Ta cegła była bardzo stara. Nosiło ją wielu przed nim. Miała starte krawędzie od rąk pokoleń, które przekazywały ją sobie jak święty ciężar.

Przez wiele lat myślał, że jest sumieniem.

Dopiero później zobaczył, że sumienie oddycha, a ta cegła tylko naciska.

Były też cegły z dzieciństwa.

Jedna z pierwszego zawstydzenia.

Jedna z pierwszego odrzucenia.

Jedna z głosu nauczyciela.

Jedna z korytarza, na którym ktoś się śmiał.

Jedna z wieczoru, gdy nikt nie przyszedł.

Jedna z dnia, kiedy musiał być dzielny za wcześnie.

Jedna z chwili, gdy zrozumiał, że dorośli też się gubią, ale dzieci płacą za to ciałem.

Cegły gromadziły się w nim latami.

Niektóre układał sam.

Niektóre przynosiło życie.

Niektóre dostał od ludzi, którzy twierdzili, że chcą dla niego dobrze.

Niektóre spadły na niego bez słowa.

Z czasem zaczął z nich coś budować.

Najpierw mur.

Nie wiedział, że to mur.

Myślał, że to charakter.

Człowiek często tak robi.

Układa z dawnych ciężarów coś, co z zewnątrz wygląda jak spójność.

Jestem taki.

Jestem silny.

Jestem odpowiedzialny.

Nie potrzebuję wiele.

Nie ufam łatwo.

Nie pokazuję słabości.

Nie proszę.

Nie płaczę.

Nie wracam.

Nie wybaczam.

Nie daję się.

Nie mówię o sobie za dużo.

Każde „jestem” było cegłą.

Każde „nie” było fugą.

Mur rósł.

Z zewnątrz mógł wyglądać dobrze.

Prosto.

Solidnie.

Męsko albo kobieco.

Rozsądnie.

Dojrzałe.

Bezpiecznie.

Jak ktoś, kto wie, gdzie kończy się świat i gdzie zaczyna jego własna twierdza.

Ale w środku robiło się coraz mniej powietrza.

Człowiek nie od razu rozpoznaje, że budując siebie, może się obmurować.

Na początku mur pomaga.

Chroni przed spojrzeniem.

Przed cudzym żądaniem.

Przed powtórzeniem dawnej rany.

Przed prośbą, której nie umiałby odmówić.

Przed bliskością, która mogłaby zobaczyć za dużo.

Mur mówi:

tu jestem bezpieczny.

Ale z czasem to, co chroniło, zaczyna zasłaniać.

Nie widać słońca.

Nie słychać ludzi.

Nie dochodzi czułość.

Nie wychodzi głos.

Człowiek siedzi w budowlu z własnej historii i mówi:

taki jestem.

A tak naprawdę nie wie już, gdzie kończy się on, a gdzie zaczynają się cegły.

Pewnego dnia przyszedł moment, w którym nie mógł już dokładać.

Nie dlatego, że zabrakło materiału.

Materiału było aż za dużo.

Właśnie dlatego.

Wszystko ważyło.

Każda nowa decyzja ciążyła jak stara historia. Każde spotkanie uruchamiało jakąś cegłę. Każde słowo drugiego człowieka trafiało w mur i odbijało się echem dawnych głosów.

Ktoś mówił: chodź.

On słyszał: stracisz siebie.

Ktoś mówił: zostań.

On słyszał: będziesz uwięziony.

Ktoś mówił: powiedz prawdę.

On słyszał: zostaniesz zawstydzony.

Ktoś mówił: potrzebuję cię.

On słyszał: będziesz musiał mnie nieść.

Ktoś mówił: kocham.

On sprawdzał, ile taka cegła waży.

I wtedy zrozumiał, że nie może dalej budować siebie z każdej rzeczy, którą w sobie znajdzie.

Usiadł pośród cegieł.

Pierwszy raz nie po to, żeby je układać.

Po to, żeby je ważyć.

To nie było ważenie na wadze.

Nie miał urządzenia, które pokazałoby liczbę. Nie było jednostek. Nie było skali od jednego do dziesięciu. Nie było specjalisty, który powiedziałby: ta cegła to trauma, ta to mechanizm, ta to zasób, ta to obrona, ta to rodzaj przywiązania.

Siedział sam.

Brał cegłę do rąk.

I pytał.

Czy to jest moje?

Nie w sensie: czy wydarzyło się w moim życiu.

Wiele rzeczy wydarza się w życiu człowieka, ale nie wszystko jest nim.

Pytał głębiej:

czy to mnie buduje, czy tylko przygniata?

Czy to jest fundament, czy ciężar?

Czy to jest pamięć, czy wyrok?

Czy to jest granica, czy mur?

Czy to jest odpowiedzialność, czy cudzy lęk włożony mi w ręce?

Czy to jest miłość, czy obowiązek przebrany za miłość?

Czy to jest siła, czy zbroja, której zapomniałem zdjąć?

Czy to jest serce, czy cegła położona na sercu?

To było odkrywanie.

Nie poznawanie siebie w takim sensie, w jakim człowiek poznaje swoje cechy, skłonności, słabości, typy, wzorce i historie.

Odkrywanie było inne.

Bardziej jak zdejmowanie ziemi z czegoś, co było przykryte. Jak odsłanianie schodów pod piaskiem. Jak odgarnianie liści z progu, którego dawno nikt nie widział. Jak wyjmowanie cegły po cegle z miejsca, które przez lata uchodziło za twarz.

Człowiek nie pytał już:

jaki jestem?

Pytał:

co we mnie nie jest mną, choć przez lata tak się przedstawiało?

To było trudniejsze.

Bo łatwiej jest dołożyć definicję niż odłożyć ciężar.

Łatwiej powiedzieć: jestem taki, niż zobaczyć, że „taki” był tylko starym sposobem przetrwania.

Wziął do rąk cegłę po ojcu.

Była zimna.

Przez wiele lat budował z niej swoją powagę. Układał ją w głosie, w plecach, w sposobie milczenia. Dzięki niej ludzie nie podchodzili za blisko. Dzięki niej nie musiał tłumaczyć, że czasem się boi. Dzięki niej mógł udawać, że niczego nie potrzebuje.

Ważył ją długo.

Zobaczył, że nie cała jest do wyrzucenia.

Była w niej wytrzymałość.

Była zdolność stania w trudzie.

Był jakiś rdzeń, który nie rozpadł się przy pierwszym wietrze.

Ale była też martwa część.

Zakaz łez.

Pogarda dla prośby.

Lęk przed miękkością.

Milczenie, które raniło tych, którzy czekali na słowo.

Więc nie odłożył całej cegły.

Rozbił ją.

Nie młotem gniewu.

Raczej powoli, cierpliwie, jak ktoś, kto rozdziela ziarno od kamienia.

Zostawił wytrzymałość.

Odłożył zakaz czułości.

Potem wziął cegłę po matce.

Ta była cieplejsza.

I bardziej niebezpieczna.

Bo cegły z miłości trudniej odłożyć niż cegły z przemocy. Człowiek czuje wtedy, że jeśli odłoży ciężar, zdradzi osobę, od której go dostał.

Trzymał ją przy piersi.

Słyszał:

nie zawieź mnie.

Słyszał także:

bądź blisko.

Słyszał:

nie odchodź.

Słyszał:

jeśli pójdziesz swoim życiem, moje życie zostanie puste.

Przez wiele lat myślał, że niesienie tej cegły jest dowodem serca.

Teraz zobaczył, że serce nie potrzebuje cegły, żeby pamiętać.

Miłość nie musi oznaczać noszenia cudzej niemożności.

Odłożył cegłę bardzo ostrożnie.

Jakby odkładał śpiące dziecko.

I wtedy poczuł ból.

Bo odłożenie ciężaru nie zawsze daje natychmiastową ulgę.

Czasem najpierw pojawia się żaloba.

Przez lata człowiek nie wie, kim będzie bez ciężaru, który uważał za miłość.

Potem wziął cegłę z napisem: muszę.

Ta była ogromna.

Z niej zbudował wiele lat.

Muszę wytrzymać.
Muszę zrozumieć.
Muszę pomóc.
Muszę nie zawieść.
Muszę być silny.
Muszę wiedzieć.
Muszę nie potrzebować.
Muszę dokończyć.
Muszę jeszcze trochę.
Muszę nie robić kłopotu.

Cegła była tak ciężka, że nie potrafił długo trzymać jej w dłoniach. Położył ją na ziemi i usiadł obok.

Patrzył na nią jak na starego pana domu.

Przez lata rządziła wszystkim.

Nie była zła od początku.

Kiedyś pomogła mu przeżyć. Dzięki niej wstawał, kiedy nie miał siły. Robił rzeczy, które trzeba było zrobić. Nie rozpadał się przy innych. Był potrzebny, skuteczny, odpowiedzialny.

Ale „muszę” ma jedną wadę.

Nie wie, kiedy skończyć.

Chce być potrzebne nawet wtedy, gdy człowiek mógłby już powiedzieć: chcę, wybieram, nie chcę, nie mogę, nie teraz, nie moje.

Pod cegłą „muszę” znalazł coś małego.

Nie od razu rozpoznał.

Było przykryte, blade, trochę zgniecione.

To było „chcę”.

Nie wielkie.

Nie egoistyczne.

Nie kapryśne.

Po prostu żywe.

Dziwnie było zobaczyć, że własne „chcę” przez lata leżało pod obowiązkiem jak roślina pod kamieniem.

Nie wiedział jeszcze, co z nim zrobić.

Ale nie przykrył go z powrotem.

To był początek.

Potem brał następne cegły.

Cegłę wstydu.

Ta była lepka.

Nie chciała się odkleić od dłoni. Mówiła: nie patrz na mnie, ale jednocześnie sprawiała, że wszystko patrzyło przez nią. Każde pragnienie robiło się podejrzone. Każda nagość niebezpieczna. Każda prośba zbyt odsłonięta. Każde słowo o sobie za duże.

Ważył ją i zobaczył, że wstyd nie zawsze był wrogiem.

Czasem chronił delikatność przed światem, który był zbyt brutalny.

Ale wstyd pozostawiony sam sobie zaczyna bronić także przed życiem.

Zostawił z niej ostrożność.

Odłożył pogardę dla siebie.

Cegła gniewu była gorąca.

Parzyła.

Chciał ją odrzucić od razu, bo bał się, że zrobi komuś krzywdę.

Ale kiedy ją zważył, odkrył, że w środku jest granica.

Nie cała.

Dużo było tam starego ognia, który palił na oślep. Ale w samym środku leżało zdanie: nie wolno już dalej przez mnie przechodzić.

Zostawił to zdanie.

Odłożył ogień, który chciał spalić każdego, kto przypominał dawną ranę.

Cegła lęku była lekka i ciężka jednocześnie.

Dziwna.

Jakby nie miała masy, a jednak odbierała siłę. Nie dało się jej ustawić stabilnie. Gdy kładł ją na ziemi, turlała się. Gdy chował ją pod innymi ceglami, w nocy wracała do rąk.

Lęk nie chciał być budulcem.

Lęk chciał być usłyszany.

Gdy wreszcie położył go przed sobą i powiedział: widzę cię, cegła zmniejszyła się trochę.

Nie zniknęła.

Ale przestała udawać fundament.

Cegła z napisem: taki jestem — była najpodstępniejsza.

Wyglądała jak prawda.

Miała dobrze wyryte litery.

Taki jestem.

Nieufny.

Zamknięty.

Samowystarczalny.

Niecierpliwy.

Surowy.

Niezależny.

Trudny.

Zawsze odpowiedzialny.

Zawsze gotowy.

Zawsze trochę osobno.

Przez lata pokazywał tę cegłę ludziom jak dokument tożsamości.

Kiedy ktoś chciał podejść bliżej, mówił:

taki jestem.

Kiedy ktoś mówił, że go zranił, mówił:

taki jestem.

Kiedy życie prosiło go o zmianę, mówił:

taki jestem.

Teraz zważył tę cegłę i zobaczył, że to nie dokument.

To była etykieta przyklejona do starych obron.

Nie odłożył jej od razu.

Człowiek boi się odłożyć „taki jestem”, bo wtedy przez chwilę nie wie, kim jest.

A niewiedza o sobie może być bardziej przerażająca niż najcięższa tożsamość.

Siedział więc długo.

Aż w końcu odwrócił cegłę na drugą stronę.

Z tyłu nie było napisu.

Było puste miejsce.

Puste miejsce okazało się bardziej żywe niż cała definicja.

Tam mógł pojawić się człowiek.

Nie gotowy.

Nie nazwany.

Nieudowodniony.

Ale obecny.

Z czasem zobaczył, że budowanie siebie nie polega na tym, żeby wszystkie cegły ułożyć w jedną imponującą konstrukcję.

Niektóre cegły są do fundamentu.

Na przykład odpowiedzialność, ale bez niewoli.

Wytrzymłość, ale bez zakazu łez.

Granica, ale bez muru.

Pamięć, ale bez wyroku.

Wierność, ale bez zdrady siebie.

Czułość, ale bez rozlewania się.

Siła, ale bez przemocy wobec własnej bezradności.

Niektóre cegły są do progu.

Z nich człowiek uczy się przechodzić.

Z domu dzieciństwa do własnego domu.

Z winy do odpowiedzialności.

Z milczenia do słowa.
Z wstydu do obecności.
Z ciężaru do wyboru.
Z „muszę” do „chcę”.

Niektóre cegły są do pieca.

To było ważne odkrycie.

Nie wszystko, co ciężkie, trzeba zostawić zimne.

Niektóre dawne elementy mogą stać się miejscem ciepła, jeśli nie wmurować ich w pierś, tylko ułożyć tak, by ogrzewały.

Ból może stać się czułością wobec innych.

Samotność może stać się zdolnością słuchania.

Wstyd może stać się delikatnością w dotykaniu cudzych ran.

Strata może stać się miejscem, w którym człowiek nie wyśmiewa już cudzej tęsknoty.

Ale niektóre cegły nie są do niczego.

Nie w jego domu.

Cudze oczekiwania.

Cudzy lęk włożony w jego rękę.

Wina za życie innych.

Zobowiązanie, żeby nigdy nie odejść od czyjegoś cierpienia.

Zakaz własnej radości.

Nakaz bycia większym, niż był.

Te cegły trzeba odłożyć.

Nie z pogardą.

Niektóre nawet z wdzięcznością.

Bo może kiedyś naprawdę pomogły przetrwać.

Ale przetrwanie nie zawsze nadaje się na dom.

To też odkrył.

Można przeżyć dzięki czemuś, co później trzeba odłożyć, żeby zacząć żyć.

Przez wiele dni, miesięcy, może lat, ważył cegły.

Nie była to praca widowiskowa.

Nikt nie widział wielkich postępów.

Z zewnątrz czasem wyglądało, jakby siedział wśród gruzów.

Ktoś mógłby powiedzieć:

zamiast się budować, on tylko przegląda stare rzeczy.

Ale to nie były stare rzeczy.

To były elementy, które przez lata udawały jego samego.

Każda odłożona cegła odsłaniała trochę skóry.

Trochę oddechu.

Trochę miejsca.

Trochę twarzy.

Zaczęło się okazywać, że człowiek nie jest tym, co na sobie nosił.

Nie jest sumą cegieł.

Nie jest nawet budowlą.

Jest tym, kto waży.

Tym, kto rozpoznaje.

Tym, kto może powiedzieć:

to zostaje,

to odchodzi,

to było moje kiedyś, ale już nie musi być mną,

to było cudze od początku,

to mnie chroniło, ale teraz mnie więzi,

to bolało, ale może stać się ciepłem,

to jest ciężkie, ale nie jest złe,

to wyglądało jak serce, ale było kamieniem położonym na sercu.

Pewnego dnia zrozumiał, że nie zbuduje siebie tak, jak buduje się ścianę.

Nie będzie równej konstrukcji.

Nie będzie idealnej bryły.

Nie będzie domu bez szczelin.

I dobrze.

Bo szczeliny wpuszczają światło.

Z cegieł, które naprawdę wybrał, powstało coś skromniejszego, niż się spodziewał.

Nie twierdza.

Nie pomnik.

Nie wieża.

Raczej miejsce.

Mały próg.

Kawałek podłogi.

Piec.

Stół.

Kilka ścian, ale nie za wysokich.

Okno.

Drzwi, które można otworzyć od środka.

To nie było „ja” jako zamek.

To było „ja” jako dom, w którym można mieszkać.

Nie wszystko było skończone.

Nie musiało.

Na zewnątrz nadal leżały cegły, których jeszcze nie zważył. Niektóre wracały w snach. Niektóre podnosił raz po raz, bo nie umiał zdecydować. Niektóre były tak stare, że nie wiedział, czy należą do niego, czy do całego rodu.

Ale już nie budował z nich ślepo.

To była różnica.

Człowiek nie musi pozbyć się całej historii, żeby być wolny.

Musi przestać mylić historię z materiałem obowiązkowym.

Musi móc wziąć cegłę do ręki i powiedzieć:

zobaczę, czym jesteś.

Nie każda cegła, którą noszę, jest mną.

Nie każda cegła, która była we mnie, musi zostać we mnie.

Nie każda cegła, która mnie uformowała, ma prawo mnie dalej zamykać.

To było jego odkrywanie.

Nie poznanie w lustrze.

Nie definicja.

Nie odpowiedź na pytanie: kim jestem?

Raczej powolne odsłanianie miejsca, które było pod ciężarem.

I może właśnie dlatego pewnego dnia, gdy ktoś zapytał go:

— Z czego się zbudowałeś?

Nie umiał odpowiedzieć szybko.

Popatrzył na swoje ręce.

Na cegły odłożone obok.

Na próg.

Na piec.

Na okno.

Na wolne miejsce tam, gdzie dawniej stał mur.

I powiedział:

— Nie wiem, czy się zbudowałem. Raczej odłożyłem dość ciężaru, żeby zobaczyć, gdzie byłem od początku.

To była prawda.

Bo człowiek nie powstaje dopiero wtedy, gdy ułoży siebie z cegieł.

Człowiek często jest pod nimi.

Czeka.

Nie jako gotowa postać.

Nie jako idealne „ja”.

Raczej jako żywe miejsce, do którego nie było dostępu, bo wszystko było zbyt ciężkie.

Ważenie cegieł nie było więc budową w zwykłym sensie.

Było odsłanianiem.

Cegła po cegle.

Aż w końcu człowiek poczuł, że może oddychać nie dlatego, że ma już doskonały dom.

Tylko dlatego, że przestał być murem.